

“Czas leczy rany, lecz pozostają wspomnienia”

W relacjach świadków powrót do Ojczyzny i wyjazd na Ziemię Odzyskane wiąże się z kolejnymi trudnymi przeżyciami. Ludzie przewożeni byli pociągami w wagonach przeznaczonych dla zwierząt. Często głodowali, nie mieli dostępu do wody i żadnych środków do higieny. Mnożyły się wszy i choroby...

Zupełnie inaczej wspomina te wydarzenia moja ciocia - Janina Wilk, mieszkanka Golanki Dolnej. Po drodze repatrianci otrzymywali kanapki na śniadanie, obiady i ciepłą herbatę. Rodzice spali w wagonach sypialnych, ale mała dziewczynka wolała odpoczynek na workach ze zbożem. Wieźli ze sobą też sporo rzeczy, które pozwolono im zabrać z bardzo skromnego dobytku. Pociąg zatrzymywał się tam, gdzie wyznaczone były punkty żywieniowe.

W Legnicy na peronie powitał przybyłych wojewoda w otoczeniu urzędników. Dumnie i radośnie brzmiały dźwięki utworów, które wykonywała stojąca nieopodal orkiestra. Teraz wiadomo, że różnice pomiędzy warunkami powrotu na ziemię ojczyste wiązały się z polityką władzy. Przyjazd tego pociągu miała zobaczyć cała Polska, wydarzenie to służyło więc celom propagandowym.

Na obcej ziemi trzeba było zdecydować, którą z proponowanych nieruchomości przyjmuje się do zamieszkania... Na podjęcie decyzji nie było zbyt dużo czasu, ponieważ wiele domów już zasiedlono, a wciąż przybywali ludzie, którzy na zachodzie Polski mieli za zadanie stworzyć nowy “kawałek“ Ojczyzny. Mozaikowa, różnorodna kultura, inna świadomość... Wiele dzieliło. Łączyło przede wszystkim pragnienie posiadania własnego kąta i uczucie, że może nareszcie los przyniesie coś dobrego, zmieni życie. Czy radość wówczas dominowała? Raczej walczyła z lękiem, nadzieją, zaufaniem i jego brakiem

Kluczową rolę w wyborze domu miało gospodarstwo, które także było częścią dorobku rodziny. A tak naprawdę, ostateczna decyzja zależała od... stodoły. To nie żart, ponieważ stanowiła wizytówkę gospodarzy, a od jej zasobności zależało całe życie. Przygotowanie mieszkania sprawiało dużo więcej trudności niż w teraźniejszych czasach. Domy były puste, a ich urządzenie trzeba było zacząć od nowa. Jednym z ułatwień dla mieszkańców było to, że mogli zabrać ze sobą łóżka i wielorakie rzeczy z dawnego miejsca zamieszkania, które potem pomogły w szybszym zagospodarowaniu.

Gospodarstwo, w którym zamieszkała rodzina cioci, wyróżniał sad z papierówkami. Handlowali nimi, co wspomagało mizerny budżet i pozwalało przetrwać trudny czas. Ważnym elementem mienia były też zwierzęta hodowlane, ponieważ dzięki nim od czasu do czasu obiady stawały się prawdziwie świąteczne. Jedynymi zwierzętami, które ze sobą przywieźli z poprzedniego miejsca zamieszkania, były krowa i owca.



Fot. 1. Z bratem na pastwisku



Fot. 2. Janina w ogrodzie

W późniejszym czasie spieniężali ogórki, cebulę i inne warzywa, w zależności od sezonu. Sprzedawali też mleko i śmietanę, dlatego sami rzadko kiedy mieli masło w domu. Aby sprzedać produkty i wytwory swoich rąk, wyjeżdżali zaprzężonym w konie wozem o drugiej w nocy na rynek do Legnicy. Ciocia do dziś pamięta stukanie drewnianych kół i monotony dźwięk kopyt koni.

Ciocia Janina zajęła się pomocą rodzicom w gospodarstwie i opieką nad młodszym rodzeństwem. To nie pozwoliło jej w dalszym uczęszczaniu do szkoły, ukończyła jedynie czwartą klasę w szkole w Warężu. Ostatnie swoje świadectwo spaliła w piecu, gdy jej mama piekła chleb, gdyż była zniesmaczona oceną z matematyki. Jej słabością była tabliczka mnożenia, którą teraz pomimo 83 lat może wyrecytować.

Mieszkańcy Gołanki Dolnej i przyległych wiosek pracowali na roli, zakładali sady i rozwijali gospodarstwa. Młodzi mężczyźni zajmowali się również zbieraniem cegieł, które wywożono do Warszawy na odbudowę miasta, za co nie tylko otrzymywali „parę groszy”, ale też pochwały za odbudowę stolicy.

Mijały kolejne lata, a oni wciąż drugą połowę serca byli tam, tam gdzie był dom, wspomnienia i chwile, które teraz zostały setki kilometrów stąd. Tam wychowali się i spędzili najmłodsze lata swojego życia. Dlaczego musieli stamtąd wyjechać?

Historia zaczyna się w 1942 r. w miejscowości Hatowice, kiedy Polacy musieli uciekać przed Ukraińcami, którzy mordowali i okradali polskie rodziny. Tą samą tragedię przeżyła rodzina mojej cioci. Kiedy uciekli do Waręża - miejscowości, w której mieszkali rodzice mamy cioci, jej tato został postrzelony przez banderowców. Weszli do domu w nocy. Krzycząc, kazali wyjść jednemu domownikowi. Wyszedł ojciec. Nie było dyskusji, prośby nie wchodziły w grę, tylko drażniły oprawców. Każdy płakał i trząsł się ze strachu. Żona błagała, ale nikt jej nie słuchał. Byli bez serca, bez zastanowienia mogli zabić wszystkich, którzy stanęli na ich drodze. Uderzyli czymś kobietę w głowę i musiała się odsunąć, bowiem miała dzieci, dla których musiała żyć. Słowa wykrzywane przez banderowców, które zapamiętała ciocia: „*Bądźcie cicho, bo powystrzelamy Was jak psów!*”, wciąż brzmią w jej uszach.

Zabierali i zabijali ludzi pod lasem. Dziadkowie cioci znaleźli jej tatę zabitego w rowie. Chcieli go pochować koło kaplicy. Jednakże jedna z tamtejszych mieszkanek ostrzegła ich, żeby nie nieśli ciała na cmentarz, bo tam w kaplicy ukryli się banderowcy i czekają na tych, którzy przyniosą ciała, aby ich zabić. Dzięki temu dziadkowie przeżyli. Sami zrobili trumnę z desek i pochowali tatę w ogrodzie. Słowa, którymi ciocia opisuje tamten dzień: „*Myślę, że nikt, który tego nie doświadczył, nie jest w stanie tego poczuć. Tego, co czuli w tym momencie domownicy. Tego strachu i bezradności, krzyku w ciszy. Nie mogli nawet godnie pochować swojego ojca.*”



Fot. 3. Rodzice Janiny: Maria i Stanisław Klimczuk



Fot. 4. Gospodarstwo w Warężu

Strach towarzyszył im bardzo długo, wiedzieli, że muszą uciekać. Wyjeżdżając, widzieli łuny i słyszeli huki dochodzące z Wołynia. Postanowili wyjechać do Sokala, a następnie do Przeworska. Tutaj mama Janiny wyszła ponownie za mąż za wdowca. Od tej chwili razem zajęli się pracą i wychowywaniem czwórki dzieci. Przez dwa lata prowadzili tułacze życie, musieli uciekać, walczyć o swoje istnienie. Droga prowadziła ich przez różne miejscowości zanim z powrotem dotarli do Waręża. Po drodze zatrzymali się na parę miesięcy w Hrubieszowie i w dworku w Łopuszce Małej, który teraz stanowi jeden z polskich zabytków. Po takim czasie wrócili do domu, dopiero wtedy mogli pochować tatę w honorowy sposób, z księdzem i na cmentarzu. Ich dom był kompletną ruiną, zamieszkali zatem w pożydowskiej kamienicy.

Z dnia 13 na 14 września 1946 r. odbył się ostatni napad banderowców, po którym zniszczenia były ogromne. Spalono wiele domów i stodół, wiele zwierząt hodowlanych spłonęło żywcem wraz z ich zagrodami. Moja ciocia miała dużo szczęścia, ponieważ wraz ze swoim dziadkiem podczas ataku schowali się w stercie siana, skąd słyszeli rozmowy banderowców. Bandyci kłócili się tam o to, czy podpalić dom, czy siano, jednak ich plany nie udały się. Jeden z banderowców został postrzelony przez polskiego żołnierza, który przyszedł z pomocą. Cała rodzina przeżyła, lecz czekała ich kolejna przeprowadzka.

Niedługo po całym zdarzeniu Rosjanie zajęli obszar pięciu gmin. Zaczął się spis, według którego każdy z mieszkańców musiał zapisać się do innego miasta. W tym przypadku rodzice cioci wybrali drogę na zachód. Kto się nigdzie nie zapisał, został wywieziony w Bieszczady, tak też stało się z siostrą mamy Janiny Wilk.

Moja ciocia to wspaniała osoba. Pomimo wieku dużo pamięta i dzięki temu może dalej przekazywać wiedzę i historię, jaką przeżyła. Wyszła za mąż w wieku 17 lat za Stanisława Wilka. Ciocia do dziś mówi, że nie jest to dobry wiek na „żeniaczkę”, stanowczo za wcześnie. Ciocia z mężem osiedli w Golance Dolnej. O wyborze domu do zamieszkania zdecydowała wielkość stodoły, która w tamtych czasach była kluczowa w gospodarstwie. Jednakże sielanka małżeńska nie trwała długo. Ciocia Janina w wieku 34 lat została wdową z czwórką dzieci. Sama zmagła się z problemami, wychowywała dzieci i prowadziła 5 ha gospodarstwo. Mimo trudów nie poddała się. Teraz otacza się liczną rodziną, w tym czwórką dzieci, sześciorgiem wnuków i siedmiorgiem małych prawnuków. Codziennie cieszy się z tego, co ma. Chodzi do kościoła i wszystkim powtarza, że wiara jest to jedna z tych rzeczy, które pomogły przetrwać trudne momenty. Czyta książki i wciąż chce pogłębiać swoją wiedzę o nowe wiadomości.



Fot. 5, 6 i 7. Ślub Janiny i Stanisława w 1955 roku



Fot. 8. Stodoła w gospodarstwie Janiny Wilk

Myślę, że ta historia pokazuje, iż ludzie nie doceniają tego, co mają. Nie widzą tego, co musieli przeżyć inni, walcząc o przetrwanie i wolność swojego kraju. Wszyscy zamykają się w swoich mieszkaniach, każdy z nas zajęty jest tylko swoim życiem. Z opowiadania mojej cioci widać, że ludzie się integrowali, chodzili razem do kościoła, na potańcówki, zbierali się razem na dożynkach i podczas różnych uroczystości. Myślę, że historia Janiny Wilk powinna pokazać nam, że przede wszystkim powinniśmy się szanować i doceniać to, co mamy. Każdy z nas powinien być dobrym kolegą, przyjacielem, sąsiadem i szanującym swoją Ojczyznę Polakiem.